Cena pojedyńczego Nr. 60 gr.

Rok V. Radom, listopad 1928 r. Nr. 2.

FILARETA

MIESIĘCZNIK K. M. „FILARECJA“ GIMN. PAŃSTW.
IM. J. KOCHANOWSKIEGO w RADOMIU.

DLA CIEBIE POLSKO I DLA TWOJEJ CHWAŁY!

DLA WIECZNEJ PAMIĘCI RADOSNEGO OBCHODU
PIERWSZEGO DZIESIĘCIOLECIA

NIEPODLEGŁOŚCI PAŃSTWOWEJ POLSKIEJ

ZA RZĄDÓW

IGNACEGO MOŚCICKIEGO

PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

ZA NACZELNEGO DOWÓDZTWA

JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

PIERWSZEGO MARSZAŁKA POLSKI

ZA RZĄDÓW

KAZIMIERZA BARTLA

PREZESA RADY MINISTRÓW

KAZIMIERZA ŚWITALSKIEGO

MINISTRA WYZNAŃ RELIGIJNYCH i OŚWIECENIA PUBLICZNEGO

TADEUSZA KUPCZYŃSKIEGO

KURATORA OKRĘGU SZKOLNEGO KRAKOWSKIEGO

NINIEJSZY NUMER ŚWIĄTECZNY WYDAJE

Redakcja „Filarety“.

Radom, w listopadzie 1928 r.

CHŁOPCY!

Dziś wielkie wesele w narodzie polskim! Święcimy pierwsze Dziesięciolecie Odrodzonej Państwowości Polskiej.

Wichry halne na szczytach polskich gór, huk fal bałtyckich o polskie wybrzeże, szum lasów polskich i rozgwar rzek, toczących ochoczo swe fale do polskiego morza — jednoczą się w jeden przepotężny, weselny hymn życia i radości. A wtórują żywiołom dusze polskie, wolne, rośpiewane, pełne dobrej woli i bezgranicznego oddania się Ojczyźnie.

A wśród tego wesela wznosi się cichy szept miljonów ust do Pana Zastępów:

„Boże Jagiellonów! Boże Sobieskich! Boże Kościuszków! Zlitowałeś się nad Ojczyzną naszą i nad nami. Pozwoliłeś nam znowu modlić się do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy z bronią w ręku, przed ołtarzem, zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem, zrobionym z orłów i chorągwi naszych; a rodzinie naszej pozwoliłeś się modlić w kościołach miast naszych i wiosek naszych, a dzieciom na grobach naszych!"

A my Ojczyzny naszej sługami wiernymi będziemy. My w służbie Jej szczytnej wszystkie nasze siły fizyczne i duchowe wyczerpiemy. Każdy nasz czyn codzienny z myślą o Niej, na zwiększenie Jej chwały, pełnić będziemy. Pracą ofiarną rąk naszych granitowe Jej zbudujemy fundamenty. W sercach naszych rozżarzymy wieczną dla Niej miłość, a piersią naszą od wroga Ją osłonimy, aby kości nasze na wieki wieków w wolnej spoczywały ziemi.

Tak nam dopomóż Bóg!

Tym, co oddali dług...

Kolegom, którzy zginęli w obronie Polski,
w 10-tą rocznicę odzyskania niepodległości
poświęcam.

Minęły rozkosze upalnego lata,
A wraz z niemi wakacje odeszły, jak sen,
Z drzew tuman wciąż liści pożółkłych oblata,
I do pracy znów idzie uczniowski świat ten..

Zniknęły już szare babie pajęczyny,
I nauka znów płynie poprzez czaszek próg.
Potem młodzież pójdzie na służbę Ojczyzny
I w wolnej Polsce swoich będzie szukać dróg...

Ale są inni. Ci nie staną teraz,
Ojczyzna Ich nie będzie mieć u swoich stóp.
A czemu? — Bo dług swój oddali już nieraz,
Kiedy młode swe życie za Nią kładli w grób...

Ci — godni największych Ojczyzny zaszczytów,
Ojczyzno! To prawdziwe były dzieci Twe.
Lecz Im nic nie trzeba — bo doszli do szczytów,
Kiedy Matce oddali krew i życie swe...

Z za grobu być każą, jacy byli sami,
I stawać każą śmiało wobec ciężkich prób.
Ojczyzno! Będą i pomiędzy nami
Tacy, co dla Ciebie chętnie pójdą w grób...

O, Obrońcy Matki! O, serca bez zdrady!
Niedarmo wału z Waszych ciał nie przebył wróg!
Przysięgamy, że w Wasze też pójdziemy ślady,
Gdy tylko znów zabrzmi Ojców Złoty Róg...

Jerzy Majewski.

Od śnieżnych szczytów gór
po sine morza piany
gra dźwięcznie dzwonów chór,
weselem rozśpiewany!

Przyszłości jasnej świt
ogłasza z wielką chwałą —
przestał być mitem mit!
Słowo się Ciałem stało!

Jutrzenka stoi u wrót,
nadzieja dusze wyzłaca,
bo Bóg nam zesłał cud:
plonem święci się praca!

WIZJA.

Otwieram oczy... patrzę w sufit...

Promienie porannego słonka, nie bacząc na to, że chcę spać, wyzywająco zaglądają mi w twarz, ufne w swą siłę, że pokonały królowę cieniów — noc.

Lecz co to... hen! hen! zdala dochodzi mnie brzęczenie pszczół na kwiatach.

Zdumiony siadam na łóżku...

— Jakto! — wyskakuję — w listopadzie pszczoły?

— To nie pszczoły tak gwarzą, to są głosy ludzi, którzy zebrali się, aby uczcić 10-cio lecie Niepodległości Polski, przecież to dzisiaj 11 listopad; wstawaj leniuszku, już dziesięć lat przespałeś snem hypnotycznym...

Teraz dopiero zauważyłem starca w długiej szacie, którego oblicze tyle posiadało uroku, że przykuwało mój wzrok. Walcząc

jeszcze ze snem, który rozkosznie wabił mnie do łóżka, usłyszałem znów słowa:

— „Ubierај się chłopcze, za chwilę wychodzimy”...

Po upływie paru chwil zstępowałem po schodach za swym tajemniczym przewodnikiem.

Przestępujemy próg bramy. Stanąłem, jak wryty, a z piersi wyrwał mi się okrzyk zdumienia...

— Gdzie ja jestem?..

Ulica szeroka, widna, równo ułożona kostką, mknie właśnie po niej tramwaj. Po obu stronach rosną piękne drzewka. Gdzieś zniknęły słupy telefoniczne i elektryczne, a tylko widać liczne latarnie.

Domy otynkowane gładko z ładnemi ornamentami, na każdym balkonie kwiaty, jak barwna mozajka, pieszczą oko.

Ze zadziwienia wyrwał mnie starzec, ciągnąc mnie za sobą.

Na ulicach ruch, ludzie wyglądają dostatnio, każda twarz radosna i wesoła.

Niesieni na fali ludzkiej znaleźliśmy się koło wielkiego gmachu o widnych, wielkich oknach.

Zdaleka widnieje napis: „Gimnazjum Państwowe im. J. Kochanowskiego”.

Pędem wbiegam do środka, za mną podąża starzec.

Nie wierzę oczom swoim. Znajdujemy się we wspaniałej poczekalni; na prawo widać kancelarję, gabinety dyrektora, doktora i dentysty; po lewej stronie wielka szatnia. Chcę wejść na schody, aby zobaczyć, co się dzieje wyżej, aż tu nagle nasz poczciwy woźny Franciszek powiada mi, że trzeba zdjąć buty, założyć pantofle i w nich dopiero można iść dalej. Palony ciekawością czynię zadość jego żądaniu i śpieszę na pierwsze piętro. Na wprost wejścia ze schodów prowadzą drzwi do olbrzymiej sali gimnastycznej; na lewo do bibljoteki i czytelni; na prawo rozciągają się sala fizyczna, przyrodnicza i robót ręcznych. Na drugim piętrze podziwiam klasy, duże, widne. Rzuciwszy wzrokiem przez jedno okno, zobaczyłem wielkie boisko szkolne z trybunami po bokach, przedłużenie zaś boiska stanowił ogromny ogród, w którym krzątali się uczniowie.

Zatopiłem spojrzenie w dali i patrzyłem na dachy domów, błyszczące w promieniach słonecznych.

Nagle starzec położył mi rękę na ramieniu i rzekł:

— Za chwilę zobaczysz coś innego.

Zanim zdołałem coś odrzec, znaleźliśmy się na niewielkim wzgórku, u stóp którego rozciągnęła się wioska.

O dziwo!... Zniknęły gdzieś strzechy, zniknęły kałuże błota na drodze i w zabudowaniach. Oczom naszym ukazał się szereg budynków czystych, krytych blachą, otaczających czyste, wybrukowane podwórka. Przez wieś wiodła, po obu stronach wysadzona drzewami, wybrukowana droga. Pośrodku wsi stał dom ludowy, obok niego szkoła i budynek straży pożarnej.

Napatrzywszy się do syta, zaczęliśmy schodzić z pagórka i pyszną asfaltową szosą udaliśmy się do miasta, a starzec zaczął w te słowa:

— Dopiero dziesięć lat minęło, jak zrzuciliśmy jarzmo niewoli, a wiele się zmieniło. Część małą już widziałeś, a resztę ci opowiem. Otóż widzisz, w Polsce niema już ubogich i nędzarzy, dlatego że wszyscy zrozumieli doskonale cnotę oszczędności. Zapanowało poszanowanie cudzej własności i powszechna miłość bliźniego.

Niema już w Polsce stronnictw zwalczających się, lecz wszyscy wspólnie dążymy do potęgi Rzeczypospolitej.

Handel i przemysł polski zdobyły sobie obywatelstwo w świecie; polskie zboża, nabiał, drób panują na rynkach zagranicznych. Urzędy polskie działają sprawnie, niema już protekcji, każdy dostaje to, na co zasłużył przez swą pracę i stosownie do swej wartości wewnętrznej.

Skończył mówić i szliśmy czas jakiś w milczeniu, aż ja spytałem, w jaki sposób mogło się tak wiele rzeczy zmienić na dobre.

A starzec rzekł:

— Pracą i miłością.

— — — — — — — — — — — — — — —

— „Stary!” wstawaj, bo się spóźnisz, dziś przecież musimy iść do kościoła i pomodlić się za pomyślność naszej Ojczyzny”...

Zrywam się na równe nogi i krzyczę: „To był sen?”

„Jaki sen? — pyta kolega, który mnie budził.

Opowiedziałem mu swój sen, a on, gdy skończyłem mówić, dał mi gazetę do ręki i wskazał ręką na artykuł, który opiewał o rabunku, dokonanym dzisiejszej nocy.

— — — — — — — — — — — — — — —

Smutna jest, jednak niestety prawdziwa rzeczywistość, lecz musi ziścić się sen trudu, pracy i miłości!

My młodzi go ziścić musimy!

Piotr.

Niemcy a Polska

Nie zdobyli jej bronią, ale rozdzielili jadem pochlebstwa, upoili nektarem obietnic. (Krasiński)

Początki państwa polskiego są nam bliżej nieznane. W najdawniejszych bowiem czasach była Polska odcięta od cywilizacji zachodniej przez plemiona słowiańskie Czechów i Połabian, które nie stały na poziomie kulturalnym Zachodu, wskutek czego wieść żadna o państwach, leżących na wschód od tych narodów, nie mogła przedostać się do ośrodka cywilizacji europejskiej. Polska okazuje się nam nagle i to już jako państwo zorganizowane dobrze, będąc monarchją absolutystyczną. Zawdzięczamy to odkrycie wytrwałemu naciskowi Niemców w kierunku wschodnim, którzy, po zgnębieniu Połabian, siłą rzeczy musieli się natknąć na Polskę. Ona powstrzymała Niemców w dalszym pochodzie na wschód. Musi się z nią liczyć cesarz niemiecki, ograniczając się do uznania przez Mieszka zwierzchnictwa niemieckiego

Mieszko I przystał na to, mając silną wolę utworzenia z Polski państwa potężnego. Nie chcąc jednak być zupełnie skrępowanym przez Niemców, przyjmuje chrześcjaństwo od Czechów wraz z ręką księżniczki czeskiej, Dąbrówki. Czynem tym zagrodził Mieszko Germanom drogę do dalszego pochodu na wschód, gdyż pretekstem ich podbojów była chęć szerzenia chrześcjaństwa wśród Słowian, a któràto misję musieli przerwać, nie mając kogo nawracać. Jednak to nie wystarczało Mieszkowi. Usiłuje on uniezależnić swoje państwo od cesarza, stwarzając w niem własne biskupstwo rzymsko-katolickie. Nie mógł jednak uczynić tego

bez zgody niemieckiej, musiał więc starać się o aprobatę takiego czynu. Przez chwilową uległość i mądrą politykę wzmocnił Mieszko państwo polskie, otwierając mu drzwi na przyjęcie cywilizacji zachodniej W ten sposòb ugruntowaną władzę obejmuje po śmierci ojca Bolesław, najstarszy z jego synów.

Za jego to rządów usiłuje cesarz Otto III pozyskać przyjaźń Polski dla cesarstwa. Zgadza się więc na założenie w Gnieźnie arcybiskupstwa, na którego kierownika wyznaczono jednak nie Polaka, lecz Niemca. Mimo to sam fakt uzyskania niezależności kościelnej pociągał za sobą niezależność polityczną, ukoronowaną wreszcie uznaniem, przez Ottona III, Bolesława królem polskim. Niedługo jednak trwały przyjazne stosunki obu tych państw. Umiera bowiem Otto III, a jego następcy usiłują odzyskać wpływy, utracone na wschodzie.

Zrozumiał tedy Bolesław, że nacisk germanizmu na wschód nigdy nie ustanie. Przewidując niebezpieczeństwo, grożące Słowianom, postanawia utworzyć potęgę z wszystkich plemion słowiańskich, przeciwstawiając ją potędze germańskiej. Nie było mu jednak danem zrealizowanie tego planu z powodu praktycznego braku zrozumienia idei łączności wśród Słowian. Dlatego też na własną rękę odpiera wszelkie zabiegi Niemców do opanowania ziem słowiańskich i niejednokrotnie zadaje poważne ciosy najeźdźcom. Pod koniec życia koronuje się królem, utrwalając stanowisko Polski na wschodzie Europy, czemu Niemcy nie byli w stanie przeszkodzić, pamiętając klęski poniesione od niego.

Po jego śmierci trafia się Niemcom okazja pomszczenia się na Polsce. Zawiązują więc koalicję przeciwko Polsce i, napadłszy ją ze wszech stron, strasznie ją pustoszą. Teraz jednak wzrasta w potęgę Brzetysław, książę czeski. Obawiając się jego potęgi, zgadza się cesarz Henryk III na restaurację wstrząśniętej do głębi Polski i osadza na tronie polskim Kazimierza I, zwanego później Odnowicielem, który, przyjąwszy zwierzchnictwo cesarskie, mógł skutecznie pracować nad podźwignięciem Ojczyzny z upadku. Dzięki mądrym reformom przekazuje on swemu następcy Bolesławowi Śmiałemu państwo potężne, zdolne do życia samoistnego.

Rzućmy jednak okiem na wypadki ówczesne na Zachodzie Europy. Cała Europa zachodnia z niepokojem przypatrywała się

zmaganiom dwu największych potęg w świecie, t. j. papiestwa i cesarstwa. Na tronie papieskim zasiadał wtedy mądry papież Grzegorz VII, który chciał swemi reformami uniezależnić kościół od władzy świeckiej. Temu sprzeciwił się cesarz Henryk IV, który, uśmierzywszy bunty wasalów, znowu się poczuł silnym w swem państwie. Henryk IV zakwestjonował ważność wyboru Grzegorza VII na papieża, ogłaszając go za intruza. Papież na to zebrał wyższych duchownych włoskich i francuskich i na soborze laterańskim wyklął cesarza z łona kościoła. Cesarz początkowo szukał zemsty, jednak, gdy podwładni odmówili mu posłuszeństwa, udaje się do Rzymu w celu przebłagania papieża. Spotyka się z nim w Kanossie i tam błaga o przebaczenie. Po uzyskaniu go wraca do kraju, gdzie tymczasem wybrano sobie nowego cesarza, ks. szwabskiego Rudolfa. Wybuchła więc zacięta wojna domowa.

Tak się przedstawiał obraz Europy zachodniej, gdy na tronie polskim zasiadł Bolesław Śmiały. Zawiera on przymierze z papiestwem, wskutek czego staje się wrogiem cesarza. Rozumiał on bowiem, że niema mowy o prawdziwej przyjaźni z Niemcami, które jedynie dbają o swoje dobro, nie wyrzekając się myśli ekspansji na wschód. Jako przeciwnik cesarza udziela Boleslaw pomocy wszystkim jego wrogom, jakoto Beli przeciw Andrzejowi na Węgrzech i Władysławowi Świętemu przeciw Salomonowi, synowi Andrzeja.

Niemcy, widząc, że nie uzyskają przewagi nad Bolesławem Śmiałym, podburzają przeciw niemu rodzonego brata, Władysława Hermana, którzy nie mógł się zgodzić na podrzędną rolę w kraju, będąc bardzo ambitnym i chciwym władzy. Teraz to poraz pierwszy Niemcy wsączyli w naród polski jad rokoszy i buntów, który głęboko wsiąknął w jego duszę i był też jedną z przyczyn upadku Polski. Od tej pory właściwie władza monarchy przestaje być absolutną, co w wielkiej mierze wpłynęło na osłabienie Polski.

Za panowania Hermana rządy właściwie sprawuje możnowładca Sieciech, który przyczynił się do wojny domowej, oburzając na siebie cały naród.

Po niedołężnym ojcu wstępuje na tron starszy z jego synów Bolesław Krzywousty, który swym orężem otwiera Polsce dostęp do morza. Niejednokrotnie odnosi zwycięstwa nad cesarzem,

z którym był zmuszony walczyć w obronie niepodległości Polski, królem się jednak nie koronował.

Umierając popełnił wielki błąd, dzieląc kraj pomiędzy synów i naczelną władzę zostawiając w ręku najstarszego z nich. Takie postawienie sprawy wywołało tarcia wśród spadkobierców o pierszeństwo. Wśród tych walk traci Polska Pomorze Zachodnie, które się staje zawiązkiem nowego państwa brandenburskiego. Ono, połączywszy się później z Prusami Wschodniemi, złoży się na utworzenie królestwa pruskiego, z którego wyjdzie zguba Polski. Był to bezprzecznie groźny dla Polski przeciwnik, jednak niemniej groźnym był wróg wewnętrzny, z konieczności wpuszczony do kraju.

Wiek XIII był dla Polski katastrofalny. Tron krakowski dostaje się przeważnie w ręce nieodpowiednich władców, a równocześnie od wschodu zbliża się straszne niebezpieczeństwo, najazd Tatarów. Burza tatarska zamieniła całą Polskę Wschodnią w jedno zgliszcze, wskutek czego w kraju powstał zamęt. Nie mógł jednak z tego skorzystać wróg nasz zachodni. Niemiec, albowiem był zajęty troską wewnętrzną, były to przecież czasy wielkiego bezkrólewia. Niemców więc nie obawiano się, a nawet zaczęto nimi zaludniać spustoszone d ielnice. Zalew niemczyzną ziem polskich postępuje bardzo szybko. Wytwarza się nowa warstwa ludności, mieszczaństwo. Osadnicy bowiem trudnią się przedewszystkiem handlem, usadawiając się głównie po miastach.

Nad Polską zawisła groźba wynarodowienia, co się już stało z podbitemi plemionami słowiańskiemi. Prawem obowiązującem dla miast staje się prawo magdeburskie. Handel polski bardzo szybko się rozwija, korzystając z przychylnych warunków t. j. z pokoju i z osłabienia sąsiadów.

W Polsce, rozbitej na dzielnice, do władzy przychodzi możnowładztwo. Chciał temu zapobiec Przemysław, koronowawszy się królem, jednak został zamordowany przez Niemców. Zjednoczenia Polski dokonał dopiero Władysław, dla małego wzrostu Łokietkiem zwany. Jednak fizycznie tylko był małym, duchowo zaś potężnym.

Stolicą Łokietkową staje się Kraków, gdzie odtąd odbywały się koronacje królów polskich. Łokietek koronuje się w roku

1320, pokonawszy uprzednio przeszkody, stawiane mu przez Niemców, osiadłych w Polsce, a sprzyjających Wacławowi czeskiemu.

Syn Łokietka, Kazimierz Wielki, zastał Polskę poraz drugi odnowioną, jednak poważnioną z Krzyżakami. Chcąc, aby stosunki z nimi były znośne, musiał się zrzec na ich korzyść Pomorza, które początkowo opanował margrabia brandenburski, nie przebierający w środkach, usiłujący za wszelką cenę odciąć Polsce dostęp do morza. Dziś jest znów ta sprawa aktualną pod nazwą korytarza gdańskiego i jest dla nas bardzo ważną, dlatego potraktujemy ją szerzej, omawiając dzisiejszy stosunek Polski do Niemiec.

Za Kazimierza Wielkiego Polska osiąga ponownie poważne stanowisko na wschodzie Europy, a zawdzięcza to reformom Kazimierza na polu szkolnictwa, oraz ustanowieniu prawa polskiego w miejsce niemieckiego, zawartego w statucie Wiślickim. Społeczeństwo polskie, kształcone przez światłych profesorów w akademji krakowskiej, zaczęło się interesować sprawami politycznemi. Dlatego też okres mocarstwowy w Polsce nastał właśnie w tych czasach.

Narażona na nacisk Niemców od zachodu, musi się Polska zwrócić ku wschodowi, chcąc szerzyć swą kulturę. Dochodzi do zawarcia unji z Litwą i Rusią.

Nieśmiertelne to dzieło umocniło bardzo stanowisko Polski w oczach Zachodu. Bojąc się zbytniego wzmożenia Polski na siłach, zakon wypowiada jej wojnę. Z wojny tej wychodzi wprawdzie pokonany, jednak za łagodnie jak na wielkość przestępstwa względem swego zwierzchnika. Podobnie i Kazimierz Jagiellończyk nie wyzyskał całkowicie zwycięstw, odniesionych nad Krzyżakami. Mógł bowiem całkowicie pozbawić ich zajmowanych terytorjów, lecz tego nie uczynił, wskutek czego na północnych krańcach Polski usadowił się chciwy odwetu wróg.

Tymczasem w Niemczech po wielkiem bezkrólewiu tron cesarski zostaje obsadzony przez członków rodu Habsburgów. Pierwsi monarchowie z tej linji pracują nad przywróceniem ładu w państwie oraz dążą do powiększenia posiadłości rodowych. Dlatego to popierają Wacława II w dążeniu do opanowania Polski, aby odwròcić w ten sposòb jego uwagę od krajów austrjackich. Wśród tych zajęć sprawami osobistemi nie mogły Niemcy

myśleć o podboju krajów sąsiednich. Dzięki temu Polska zdołała osiągnąć stanowisko mocarstwa europejskiego. W walkach Habsburgów z Francją jest Polska początkowo neutralna, lecz ostatecznie przechyla się na stronę Habsburgów.

Zygmunt Stary zawiera ugodę z nimi w Wiedniu w r. 1515, na mocy której tak tron czeski jak i węgierski, po wygaśnięciu tamtejszych Jagiellonów, miały się dostać Habsburgom.

Ostatni mistrz zakonu krzyżackiego, złożywszy Zygmuntowi hołd na rynku w Krakowie, zamienił swe państwo na księstwo lenne Polski, sam zaś przyjął tytuł księcia, zrzuciwszy uprzednio habit zakonny i przyjąwszy luteranizm. Nowa ta wiara szybko przedostała się do Polski, zjednując sobie zwolenników wśród szlachty i mieszczan. Wyznawcy tej wiary, nie mając swoich świątyń i kapłanów, musieli podlegać władzy duchowieństwa niemieckiego, co było niebezpieczne dla Polski, gdyż zbliżało obywateli polskich z Niemcami. Luteranizm jednak nie przyjął się w Polsce w tym stopniu co w Niemczech, to też nie odegrał większej roli w życiu politycznem tego kraju.

Po wygaśnięciu Jagiellonów znaczenie Polski się zmniejsza dzięki wolnym elekcjom, na których niejednokrotnie dochodziło do poważniejszych starć.

Za Sobieskiego gwiazda Polski zabłysła jeszcze raz na horyzoncie świata, jednak zabłysła poraz ostatni przed upadkiem. Sobieski zawarł przymierze z Habsburgami, chcąc mieć jakiegoś poważniejszego sprzymierzeńca. Zawiódł się jednak srodze na tym sojuszu. Po ocaleniu bowiem Wiednia od najazdu tureckiego, mając obiecane posiłki austrjackie, wszczął wojnę z Turkami w Polsce. Nie otrzymawszy pomocy, musiał zaniechać dalszej walki. Jawnym jednak czynem, zbliżającym upadek Polski, było wstąpienie na tron polski Niemca, z dynastji saskiej. Koronę posiedli oni bynajmniej nie wybrani przez Polaków, lecz wkraczając zbrojnie do Rzeczypospolitej i depcząc jej prawa. Stawszy się królem, August II zatwierdza utworzone świeżo królestwo pruskie, będące do tej pory lennem korony. Czyn ten oburzył cały naród. Chcąc go sobie zjednać, postanawia August odebrać Szwedom Inflanty i oddać je Polsce. To mu się jednak nie udało, a nawet naraził jeszcze Polskę na poważne kłopoty. Karol XII, król szwedzki, ścigając Augusta, zajmuje prawie całą

Rzeczypospolitą; August zaś, myśląc tylko o swej dynastji, poraz pierwszy stawia przed oczyma Europy widmo rozbioru Polski.

Po pokonaniu Karola przez Rosjan, wraca August do kraju, który wskutek najbezwstydniejszych matactw rzuca w objęcia Rosji. Z zależności tej nie udało się Polsce wyzwolić całkowicie blisko przez półtora wieku.

W czasie wojny siedmioletniej, wskutek niezaradności Augusta III, staje się Polska terenem bezpańskim, (nikt bowiem się o nią nie troszczył), to też teraz dopiero poznała Europa z jak słabym narodem ma do czynienia. Polska Sobieskiego w tak krótkim bowiem czasie została zgangrenowana do reszty przez pochlebstwa obu swych sąsiadów, tak, że wymazano ją z posród niezależnych państw Europy. O ten chciwy kęs zacznie się teraz walka między trzema sąsiadami: Rosją, Prusami i Austrją, która, niepomna dobra, wyświadczonego jej przez Polskę, narówno z innymi przyłożyła swą rękę do rozbioru Polski.

Między Prusami i Rosją zawiązuje się przymierze, celem którego było niedopuszczenie do wprowadzenia reform w Polsce. Dzięki temu zbliżeniu się dwu wrogich sąsiadów staje się Ojczyzna nasza zabawką w rękach Prus, a przedewszystkiem w rękach carskiej Rosji.

Zrozumiało to wreszcie społeczeństwo polskie, w jakiem znajduje się położeniu. W celu zrzucenia nienawistnego jarzma zawiązano konfederację w Barze. Udzielała jej wprawdzie pośredniej pomocy Austrja, jednak czyniła to dla osobistej korzyści, obawiając się zbytniego wzrostu potęgi rosyjskiej.

Gdy jeszcze Rosja zakończyła pomyślnie wojnę z Turcją, obawy Austrji wzrosły wielokrotnie. Nad Europą zawisło widmo wielkiej wojny. Po stronie Austrji opowiedziały się Francja i Anglja, po stronie zaś Rosji Prusy. Zachód jednak nie był przygotowany do walki, dyplomaci więc wszystkich państw usiłują załagodzić sprawę.

Wtedy Fryderyk II waży się na czyn niesłychany. W celu powstrzymania dalszych działań wojennych na Bałkanach, ofiarowuje Rosji jako swej sojuszniczce olbrzymią połać terytorjum polskiego wzamian za potwierdzenie przez Rosję zaboru Pomorza dla Niemiec, które to ziemie rozdzielały królestwo pruskie na dwie

części, nie wpływając korzystnie na jego rozwój. Od tej chwili Polska została ściśnięta za gardło kleszczami pruskiemi, wskutek czego musiała się udusić, gdyż zbrakło jej oddechu. Zaczyna się agonja i chwile jej istnienia są już policzone.

Rok 1773 zacieśnia węzeł przyjaźni rosyjsko-pruskiej, i jak długo będzie ona trwać, tak długo Polska nie odzyska niepodległości. Nastaną wprawdzie przebłyski szczęśliwsze dla Niej, jednak będą one krótkotrwałe, przejściowe. Do takich bezsprzecznie możemy zaliczyć czas Sejmu Czteroletniego, na którym przeprowadzono wiele reform, korzystając z zajęcia uwagi Katarzyny II wojną z Turcją. Nieśmiertelnym aktem tego Sejmu, jest Konstytucja 3-go Maja. Równocześnie Prusy narzucają się z przyjaźnią, której bano się odepchnąć, a nie ufając jej, starano się te układy przewlekać.

Tymczasem Rosja zakończyła wojnę z Turcją. Prusy zerwały zdradziecko przymierze z Polską, spodziewając się uzyskać to od Katarzyny, czego im odmówiła Rzeczpospolita. Plan Fryderyka w zupełności został przeprowadzony, gdyż został obdarowany przez sojuszniczkę bogatemi obszarami polskiemi.

Ten rozbiór, będący z kolei drugim, był o wiele większem bezprawiem niż poprzedni, ponieważ rozrywał państwo, odradzające się politycznie.

Przez cały czas niewoli naszej Prusy mieszały się w sprawy polsko-rosyjskie. Również w powstaniu kościuszkowskiem wspierają Rosjan, nie dokonali jednak niczego, gdyż z obawy buntu na tyłach musieli zaniechać tej sprawy. Przez ostateczne zwycięstwo Rosji została Polska wymazana z karty Europy i musiała zgiąć swój kark pod jarzmem niewoli.

Zaczyna się teraz systematyczne wynaradawianie ludności polskiej w Poznańskiem i w innych zaborach. Najumiejętniej zabieraja się do tego Prusacy. którzy, przez odebranie Polakom praw i wydziedziczanie ich z ziemi, powoli zdążają do zamierzonego celu.

Tymczasem we Francji wybuchła Wielka Rewolucja. Władza królewska upada, a na czele Francji staje bóg wojny, Napoleon Bonaparte.

Przez kilkanaście lat Niemcy muszą ulegać jego potędze, Polska jednak mimo to całkowitej niepodległości nie uzyskuje,

gdyż stworzone przez niego Księstwo Warszawskie było tylko drobną częścią dawnej Rzeczypospolitej.

Zostaje jednak Bonaparte pokonany przez koalicję pod Lipskiem, wskutek czego Polacy na czas dłuższy tracą nadzieję odzyskania niepodległości.

Dzięki Napoleonowi powstaje polska siła zbrojna, której tradycja żyje podziśdzień w narodzie polskim. Na niej to oparł się cały ruch w czasie powstania listopadowego, które, mimo początkowego powodzenia, zostało wkońcu stłumione dzięki pomocy Prus przy przeprawie armji rosyjskiej przez Wisłę, Osaczona Warszawa musiała kapitulować, wojsko zaś wyruszyło na tułaczkę wraz z rządem, złożywszy broń w ręce Niemców. W podobny sposób zostały zgnębione wszelkie wrzenia rewolucyjne na ziemiach polskich. Lata niewoli były dla Polski bardzo przykre, jednak naród nie dał się złamać, ustawicznie walcząc z wynarodowieniem. Również życie kulturalne nie zamiera, gdyż co najwybitniejsze jednostki udają się na wygnanie, skąd kierują całym narodem.

Na wiadomość o ruchach w Niemczech W. Ks. Poznańskie spodziewa się pewnych korzyści z tego powodu. Nadzieje te zostały jednak zawiedzione.

O wiele gorsze położenie nastaje dla zaboru pruskiego po wojnie prusko-francuskiej, której wynikiem było zjednoczenie Niemiec, za wyjątkiem Austrji, na czele zaś ich miał stać każdorazowy król pruski, przyjmując tytuł cesarza niemieckiego.

Ten wielki czyn został dokonany dzięki potężnemu genjuszowi Bismarka. Człowiek ten usilnie dążył od początku do wzmocnienia władzy królewskiej w Prusach i stworzenia z Niemiec mocarstwa. Jego też celem było zniszczenie elementu polskiego w kraju podbitym.

W walce z polskością chwyta się najprzeróżniejszych środków. Zamyka szkoły polskie, wprowadza przymusowo język niemiecki w urzędach, zatwierdza prawność istnienia związku hakatystów, którego celem jest wywłaszczenie wszystkich Polaków. Rząd stwarza nawet na te cele specjalne fundusze. Tak to Niemcy walczą z mniejszościami.

Jednak wszystkie te środki germanizacyjne okazywały się mało skuteczne. W miarę bowiem ucisku wzrastało poczucie

narodowe we wszystkich warstwach narodu polskiego. W takiej chwili wybucha wielka wojna. W pierwszym jej okresie Niemcy odnoszą znaczne korzyści i silnie się usadawiają na ziemiach nieprzyjacielskich, mając przy swym boku Austrję i Turcję. Przy wojsku austrjackiem zostaje utworzony oddział Legjonów, złożony tylko z Polaków, którego celem była walka z Rosją i potrzeba zrozumienia doniości polskiej siły zbrojnej.

Sprawa polska stała się ważną, szczególnie, gdy ją poparła koalicja, tworząc ze swej strony polską siłę zbrojną. Niemcy zostały wreszcie pokonane i nastał upragniony pokòj, zawarty w 1919 r. w Wersalu.

Z wojny tej wyszła Polska niepodległa, zmuszona do budowy państwa z trzech odrębnych członów. Wszyscy zaborcy ponieśli w tej wojnie klęskę; ziemie odzyskane połączono w jedną całość usiłując je silnie ze sobą zjednoczyć.

Przez dziesięć lat postępuje w szybkiem tempie ta odbudowa, natrafiając po drodze nn olbrzymie przeszkody, pochodzące z niezrozumienia wzajemnego wśród narodu, który przez kilkadziesiąt lat był rozdzielony na trzy części i podlegał wpływom trzech różnych kultur.

Szatański czyn Fryderyka II został zlikwidowany—ale duch jego w pobitych Niemcach dalej żyje, nakazując Polsce wielką ostrożność w swoich poczynaniach.

K. Piotrowski.

Siła Młodości.

Wszedłszy w jakiś zawiły wywód, Jurek nie mógł z niego wybrnąć. Zastanawiał się nad zdaniami i poszczególnemi słowami, cofał się, z najwyższym wysiłkiem woli starał się skupić uwagę, lecz ciągle widział na białej karcie tylko szeregi czarnych liter, z których nie mógł wyłowić żadnego znaczenia. Zniechęcony rzucił książkę i bezmyślnym wzrokiem jął ścigać jakąś zapóźnioną muchę, z monotonnem dzwonieniem tłukącą się po szybach. Z dołu, z podwòrza, dolatywało stłumione stukanie młotków z ojcowskiego warsztatu, natrętne nawoływanie żyda-handlarza, gdzieś tam tur-

kotała maszyna do szycia, kłóciły się służące, to znów hałasowały dzieci. W mieszkaniu było cicho, tylko matka brząkała w kuchni talerzami, zegar śpieszył się: tik tak... tik tak..., szczerząc z mrocznego kąta białawe oblicze cyferblatu, i denerwująco brzęczała ta nieznośna mucha...

Jurek nie mógł zmusić się do myślenia — miał w głowie przeraźliwą pustkę. W skroniach gorączkowo waliło mu tętno, czuł się znużony i zbolały, jak po najcięższej fizycznej pracy. Dobrze mu tak było siedzieć w cichym pokoju, zapomniawszy o wszelkich kłopotach i uciążliwych obowiązkach, i patrzeć niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Szare światło jesiennego popołudnia, monotonne odgłosy życia domu ukołysały go, omotały pajęczą zasłoną obojętności i bezruchu, — drzemał na jawie.

Wtem w kącie zegar stęknął, nabierał przez chwilę tchu, i głosem drzącąm, chrypliwym wydzwonił czwartą.

Głos ten wdarł się do duszy Jurka, trącając tam uśpione struny niechęci i rozgoryczenia. Czas iść na korepetycje... Z rozpaczą niemal wspomniał te beznadziejnie długie i nudne godziny lekcyj, które go czekały. Gdzieś głęboko w duszy, w najtajniejszym zakątku jaźni obudził się żal i głuchy bunt. Z bezwiedną zawiścią myślał o tych swoich kolegach—paniątkach, którzy, zawsze pięknie ubrani, zaopatrzeni przez rodziców w pieniądze, mieli aż zbyt wiele czasu na zabawę, nie mówiąc o odpoczynku. — Czem gorszy od nich on, zdolny, pracowity, wzorowo zachowujący się? czy mniej od nich wart nagrody, spoczynku, zabawy? i dlaczego braknie mu tego wszystkiego, co tamtym dano z nadmiarem?...

Wzburzony krzątał się po pokoju, ubierając się do wyjścia, wychodząc — trzasnął drzwiami, zbiegał po kilka schodów naraz i dopiero na ulicy zwolnił. Wpadł między gromadę robotników o uczernionych sadzą twarzach i w zasmolonych, smarami zatłuszczonych ubraniach, wyminął ich śpiesznie i szedł wąskim, z potłuczonych płyt ułożonym chodnikiem, obchodząc pełne błota dziury i kałuże, pozostałe po niedawnem deszczu. Po głowie snuły mu się ciężkie myśli. Oto jego życie — to niby jak taka błotnista uliczka, którą biegał, biega i — co gorsze — nie wie, kiedy skończy biegać w wiecznej skłopotanej dążności do jakiegoś nieokreślonego celu. Bo nie pomyślał dotąd, — nie śmiał myśleć,

co zrobi ze sobą po maturze. — Uniwersytet? — Za co?... Ojciec z bratem ledwie wyheblują i wystukają młotkami na utrzymanie domu...

Z za jakiegoś zacienionego załomu muru wyjrzała — bieda, uśmiechając się szyderczo.

Jurka opadała rozpacz. — Co robić?... Zrzec się tych swoich wyśnionych, wypieszczonych w godzinie marzeń celów? Jednem słowem bieda przekreślić ma te pragnienia światła i piękna, co duszę rwały, żądzę wiedzy i wyższe zainteresowania głowy?...

A jeśli nie, — to czekają go długie lata pracy nad siły, czeka szara wstęga dni, złożonych z westchnienia i wysiłku, kierat, w którym cierpliwie swe jarzmo znosić trzeba, życie, w którem nadzieja lepszego jutra nieraz musi zastępować dzisiejsze śniadanie, obiad, kolację? — Czy wytrzyma takie życie?...

Już był u drzwi jednego ze swych uczniów.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Był piękny, pogodny dzień jesienny.

Zalane słońcem ulice mają świąteczny, radosny wygląd. Wszystkie domy, od wspaniałych, dumnych kamienic do najbiedniejszych, odrapane fronty ze wstydem kryjących ruder — przybrane festonami zieleni, jesiennemi kwiatami, kobiercami i lasem chorągwi. Gdzie nie spojrzeć — wszędzie lśnią, wabią oko czerwono-białe barwy — ulica szumi tysiącami chorągwi, chorągiewek, wstąg i wstążek. Chodnikami płynie nieprzerwana rzeka ludzka. Wesoły gwar unosi się nad ich głowami, jak kwiaty błyszczą wśród fali głów barwne kapelusze pań. Jezdnią mkną samochody, pojazdy, pełne ludzi beztroskich, rozgadanych. A wysoko nad miastem w rozsłonecznionem powietrzu krąży, lśniąc, dumny metalowy ptak, warcząc szeroko, rozgłośnie.

Jurek snuł się między tłumem. Widział tysiące twarzy znajomych i nieznajomych — wszystkie wesołe, uśmiechnięte, niefrasobliwe, jakby serdecznie ucieszone. — I co ich tak cieszy? Chyba nie to dziesięciolecie — uśmiechnął się sceptycznie do siebie. — Zadowolcni, że mogą łazić po słońcu, odpędziwszy na chwilkę myśli o kłopotach.

I jednocześnie czuł, że on sam nie jest w porządku ze sobą. Po smutnych refleksjach, jakie go wczoraj opadły, wobec niewesołej przyszłości, której obraz sobie odmalował, czyż mógł się

pocieszyć błyskiem słońca, złudnym nastrojem chwili?... A przecież Jurek uczuł, że sprzeniewierza się wczorajszym kirowym myślom. Najpierw pogoda — śliczne słońce po kilkudniowych mgłach i deszczach, potem wesołe towarzystwo kolegów, msza polowa; parada wojskowa, raźne dźwięki orkiestr, radosny nastrój ulicy — wyłom po wyłomie czyniły w jego rozgoryczeniu. Dobrze znane, roześmiane błękitne oczy i gruby, jasny warkocz, co się mimo niego przesunęły — już uśmiech mu na usta wywołały i miłe, nieświadome ciepło koło serca... Wstydził się Jurek przyznać przed sobą, że gmach czarnych, gorzkich myśli jego — topnieje i że zaraz ulegnie beztrosce, co nad światem zapanowała.

Zastanowił się. — Gdzież istotna przyczyna tej jego wewnętrznej zmiany? — Jego położenie nie zmieniło się, to samo nań czekało co i przedtem..

Nie wiedział, czem to sobie tłomaczyć, ale czuł, że spływa mu z duszy reszta przykrości i zmartwienia. Pierzchł pesymizm, a zjawiła się wiara w przyszłość w powodzenie dobrej sprawy, we własne siły. Ha, z Bożą pomocą zniesie wszelkie niedostatki, byle zdobyć sobie prawo zostania człowiekiem, któremu wolno myślec i zainteresowaniem swem sięgać po za krąg szarej, nieustannej troski o chleb. Wszak niejeden niezamożny chłopiec kosztem pewnych ofiar doszedł do swego celu. Czemu on, zdolny, pracowity, a przytem zdrowy i silny, miałby sobie nie dać rady?

Czuł w piersi, w krzepkich ramionach, potężną chęć wzięcia się za bary z wszelkiemi przeciwnościami.

Właśnie z mijanej sieni wyszedł staruszek-weteran. Pospolita granatowa kapotka na zgarbionych plecach, z pod granatowej rogatywki siwe włosy się srebrzą. Poorana bruzdami twarz, a w niej dwoje oczu, śmiejących się radośnie do słońca, zieleni, i ludzi.

Jurkowi wpadła nowa myśl do głowy. Oni uczyli się w innych warunkach. Nad głową ich wisiała twarda pięść zaborcy, przed sobą mieli albo gorzką lojalność wobec hańbiącej przemocy, albo walkę na śmierć i życie, więzienie, tajgi i miny. On, Jurek i jemu podobni, wyrośli z dzieci w pierwszych dziesięciu latach istnienia państwa, uczyli się w polskiej szkole, a przed sobą mają pracę dla swego kraju i społeczeństwa, perspektywę otrzymania sprawiedliwej nagrody za ofiary. Cel wart zachodu.

I już całkiem jasno patrzył Jurek na świat. Radość życia, stworzona dla młodych, wypełniła mu serce. Z największą, najszczerszą życzliwością uśmiechał się Jurek do znajomych i nieznajomych.

T. B.

Przyjdź do mnie Jezu...

Przyjdź do mnie Jezu, o taki maleńki,
Jak Cię widziałam na świętym obrazku.
Swą małą rączką złóż ręce Oleńki —
I mów z nią pacierz wśród świętego blasku.

A kiedy będę już leżeć w łóżeczku
Siądź przy mnie blisko, blisko, bliziusieńko.
Powiedz raz do mnie — „dziecię" — „aniołeczku"
A potem cicho „Kochana Oleńko".

Zamknij mi miękko paluszkiem powieki
I zmień też wartę, sen postaw za jawę,
I nieś mię w górę, nad kościołów smreki,
Jezu z obrazka — Ty dziecię łaskawe!

Pozwól mi w niebie na Twoim warsztacie
Saneczki śliskie wystrugać do jazdy,
To Cię po śnieżnej, połyskliwej łacie
Obwozić będę w noc jak i w dzień każdy.

Lecz jest już późno, idź Boziu do domu,
Bo Matuś Twoja pewno drży tam w niebie.
Modlitwą dziecka odprowadzę Ciebie
I nie pozwolę Cię skrzywdzić nikomu.

L. M.

Czerwiec.

W jasne, ciche, czerwcowe południe
W trawę chylą się liljowe dzwonki,
A w obłokach wyśpiewują cudnie
Swe codzienne piosenki — skowronki.
Pachnie siano, na łąkach skoszone,
I powietrze przeczyste, rozgrzane.
Idźmy w lasy i gaje zielone
I napijmy się wody źródlanej.
I połóżmy się na mchu kobiercu,
Kędy ciemny jałowca krzak rośnie,
Tak nam cicho, spokojnie na sercu,
Tak wesoło, swobodnie, radośnie.

Koniec wakacji.

Już się kończy lato,
Wakacji kres,
Zacznie się skuwanie
I strugi łez.

Oby nie istniały
Dwóje i pałki,
Oby się spalały
Jak te zapałki.

O, bo żal lasów, pól
I letnich wywczasów.
Chyba żaden król
Nie znał takich czasów.

O żegnajcie dęby, sosny
I łódko na fali,
W naszych sercach dźwięk żałosny
Drży ku wam z oddali.

Pożegnanie.

Już niedługo mnie uniesie
Pociąg w mglistą dal.
Żegnaj, żegnaj drogi lesie,
Tak mi ciebie żal.
Żegnaj, młody zagajniku,
Mokrych łąk witraże,
Żegnaj rzeczko i strumyku,
Kaljo na moczarze.

Pożegnanie dębu.

O nasz dębie! Z twego szczytu,
Pośród szmeru twych gałęzi,
Niby ptaszę na uwięzi,
Spoglądałam w toń błękitu.

O nasz dębie! Z twego szczytu,
Ile mogłam objąć wzrokiem,
Nasycałam się widokiem
Dali z bieli i błękitu.

O nasz dębie! Z twego szczytu,
Ten zagajnik niby morze,
I wieczorem widać zorze,
Zlewające toń błękitu.

Żegnaj!

Słońce świeci na lazurze,
Ziemię w świetle pławi,
A me serce w czarnej chmurze,
Rozstaniem się łzawi.

„W Kwiatowej".

Tam, gdzie nas łączą miłe wspomnienia,
Lubimy każdy kamyk i ziele,
A wszak w Garbatce, nikt nie zaprzeczy,
Przeżyłam szczęścia, radości wiele.

„Kwiatowa" stoi pod lasem,—z brzega,
Nie oryginalna, duża, zwyczajna.
Działka to mała, miła kraina,
I kulturalna i urodzajna.

W naszym ogródku wdzięcznie się chwieją
Geranje, astry, drzewa z owocem.
Dobrze samemu pobiec aleją,
Gdzie droga kurzu kryje się kocem.

Tu las... tu malin gąszcza nęcące,
Pełne błyszczącej rosy perłowej,
I wszędzie słońce, słońce i słońce,
Oto jest działka willi kwiatowej.

Sad na wiosnę

Jak gdyby śnieg na drzewa padł,
Majową nocą rozkwitł sad.
Wznosi do nieba białą kiść.
Spowitą w kwiat i młody liść,
Na ziemię białe płatki śle,
Na bratki, bez, pokrzywy złe.
Jak gdyby śnieg na drzewa spadł
Majowym dzionkiem rozkwitł sad.

Bajka

Choć „koniec” bajki przeciął krasne,
Rozsnute, cienkie pajęczyny,
Dalej się ciągną mgiełki jasne
„Dalszego ciągu”. Z tej przyczyny,
Że bajki się z dzieciństwem kończy,
Więc bajki jeszcze wciąż lubimy.
Znów nitkę złoty pająk snuje,
Aż znów do prawdy powrócimy.

Na sianie

Jak miło się położyć na skoszonym sianie,
Gorącym od pieszczoty słonecznych promieni,
Które blaski swe jeszcze opuściły na nie,
Wypijając zeń soki i szmaragd zieleni.
Leżę na miękkiem sianie. I czuję na twarzy,
Jak mnie muska, całuje pachnącemi źdźbłami.
Niebo jest szafirowe. Ten szafir aż parzy.
Słońce świeci i grzeje wysoko nad nami.
Biorę w rozgrzane palce zaschnięte bławatki,
Smółki, maki, kąkole, co się tu wplątały.
Ach, pod kosą wraz z trawą padły polne kwiatki,
Które życię, pogodę tak bardzo kochały.
Zapadam głębiej w siano, sypię je na oczy,
I swym silnym zapachem upaja — upaja.
Aż od tego zapachu w głowie mi się mroczy,
I ten zapach tak dziwnie duszę mą nastraja.
Chce mi się biegać, tańczyć po miękkiej murawie,
Zrywać białe stokrocie i niebieskie dzwonki;
Cała w blasku słonecznym kąpie się i pławię.
Gdzieś w obłokach śpiewają malutkie skowronki,
Tu bliski strumień toczy kryształowe wody,
W krąg pachną niepozorne bronzowawe tonki.
Pójdę, wbiegnę do rzeki brodzić dla ochłody
I zrywać jaskry, smółki i błękitne dzwonki.

W. G.
uczennica kl. IV.

Zwyciężył!

Maraton! Korona igrzysk! Szkoła mięśni i woli! Gigantyczny wysiłek! Bohaterstwo!

Kilkanaście barwnych postaci na bieżni. Piękne sylwetki na tle szmaragdu boiska.

Oto wyróżnia się dwóch, jeden postawą swą przypomina opiewanych, starożytnych bożków, drugi, nieduży, niepokaźny, szary; tylko twarz jego skupiona i grymas woli na niej. Jego przymglone, błędne prawie oczy czynią go zajmującym.

W obliczu walki milknie widownia. Donośnie brzmi w ciszy komenda startera. Ustał nawet w oczekiwaniu wietrzyk. Nawet uśmięchnięte dotąd słońce spoważniało. A serca maratończyków biją jak dzwony. Biją z niecierpliwości, oczekiwania, niepewności, z pragnienia zwycięstwa.

Strzał! Wybiegli lekko, piękni, silni, smukli.

Oto ten wielki biegnie na przodzie. On rozpoczyna walkę. Za nim biegną inni, a mały, szary człowieczek na końcu. Uśmiechnęło się do nich słońce, a wiatr powiał im w plecy, jakby chciał im pomóc.

Zerwała się łuna z widowni. Wszyscy wołali na swoich i wszyscy wołali na wszystkich. A na boku stała cicha, milcząca gromadka — to rodacy tego małego. Oni nie widzieli innych, w ich oczach stała tylko drobna postać brata — maratończyka.

Nie wołali na niego, bo go znali. Zgiełk trwał dalej, choć na bieżni nie było już nikogo. Na maratończyków czekała już biała szosa, na niej przeciwności i walka. I czekała na nich korona walki — zwycięstwo. A stadjon huczał, wołał, spierał się, prorokował....

Jedni wołali: Ten wielki! Napewno on! A drudzy im zaprzeczali. Każdy coś mówił. Każdy typował zwycięzcę.

A na boku stała cicha gromadka. Nie mówili nic — czekali. A jednak serca ich biły jednakowo — biły, jakkdyby wystukując tempo swemu rodakowi. Wszyscy myśleli tylko: „Bracie“.

Słońce zachodziło! Wiatr ustał! Może odwieczna lampa pobiegła za tymi bohaterami. Może i wiatr chciał być maratończykiem, i dlatego nie ma go teraz?

A widownia znów cichła, bo zbliżał się kres wysiłku. I nastała dzwonna cisza. Z oddali tylko dochodził pomruk miasta. Gdzieś daleko słychać krzyk, gwar, oklaski. Hałas ten rośnie, zbliża się, już wbiega na stadjon.

A na stadjonie cisza. Szara gromada stoi i czeka. Twarze ich zbladłe, piękne i straszne. Niepokój — oczekiwanie — błoga nadzieja i czarne myśli.

I nagle wszyscy powstali z miejsc. Jest już zwycięzca — triumfator. A widownia grzmi. „Kto to„?“ „To ten, co biegł ostatni“. „Tak to on, ten mały, szary człowieczek!“...

Nadszedł teraz chyba koniec świata, coś się wali, coś łamie. Nie! To widownia oddaje hołd zwycięzcy. A on biegnie. Zdaje się olbrzymim. Wyolbrzymiło go zwycięstwo.

Na twarzach rodaków jego rozlała się radość — podziw — duma — rozrzewnienie. Z oczów popłynęły radosne, męskie łzy. Już biała taśma objęła pieszczotliwie szczupłe piersi. Już wbiegają inni, lecz hołd zwycięscy brzmi dalej.

On idzie cichy, skromny, nieśmiały, jak gdyby zażenowany. Idzie do swych braci. Każdy z nich uścisnął go miłośnie, po bratersku. I odeszli wśród braw i entuzjazmu. Odeszli bez uniesień, spokojni i skromni, a jednak olbrzymi, bo kryli pośród siebie — zwycięzcę.

Z za drzew wyjrzało słońce Spojrzało z podziwem na maratończyka, pożegnało braci jego i zgasło.

JANUSZ.

Październik.

— Pamiętacie, jaki to szum, jaki zgiełkliwy chaos dźwięków i zgrzytów słychać w głośniku radjowym, kiedy zaczyna się łapać fale?... Otóż proszę sobie wyobrazić — zupełnie podobny, bezładny zamęt tworzą w mej głowie wrażenia z całego miesiąca. Nie brak tam dźwięcznych wspomnień chwil miłych, nie brak

i zgrzytów. Oj, gdybym to wiedział, jakie kondensatory, transformatory i inne ory kręcić, żeby z tej zawieruchy wyszło—sprawozdanie miesięczne!... Jednak spróbować nie zaszkodzi. Kręcę. Uwaga!...

— Hallo, hallo!... Komunikat meteorologiczny. Naogół z pogodą można jeszcze wytrzymać. Horyzont szkolny jasny i czysty, humor i wesołość na dość wysokim poziomie. W niektórych klasach notowano kilkakrotnie drobne zachmurzenia i małe opady dwójek. W ostatnich tygodniach ubiegłego miesiąca objawy te przybierały niepokojące rozmiary, np. najwyższą klasę obsypał gęsty grad wypracowań piśmiennych z różnych przedmiotów. Co gorsza jednak — zbliża się groźne jesienne przesilenie 15-go listopada. W związku z niem przewidziana jest ogólna depresja humoru i zaburzenia typu matematyczno - fizycznego lub germanistyczno - łacińskiego. Nie wykluczone są gromy z jasnego pogodnie nieba i dlatega zaleca się wielką ostrożność.

— Może teraz coś ze sportu?... W niedzielę 21-go ub. m. na szosie lubelsktej odbyły się zawody kolarskie. Koledzy nasi pracowali, aż rowery jęczały. Bliższe szczegóły poda sprawozdawca sportowy, my zaznaczymy tylko, że zwyciestwo w udziale przypadło koledze J. Borowskiemu, kl. VIII, co dowodzi posiadania przezeń wielkiego talentu w nogach. Redakcja „Filarety“ gratuluje zwycięscy triumfu i życzy, by tytuł mistrza szkoły wyszedł mu na zdrowie.

Pod punktem tym pozostaje nadmienić jeszcze, że nasza ósma klasa pracuje z wysiłkiem na trasie rozpoczętego biegu, którego metą — matura. Start był dobry, zawodnicy dotychczas trzymają się w formie, tylko — ta meta tak jeszcze daleko, że wszyscy życzliwi czytelnicy „Filarety“ proszeni są o pobożne westchnienie, by finish szczęśliwie się udał. Warci przecież tego — tacy sympatyczni chłopcy — prawda?...

— Hallo, hallo!.. Coby tu wam jeszcze powiedzieć? —Nie było niestety żadnego amatorskiego przedstawienia, żadnej akademji, poranku ani wieczorku, o które możnaby tępić sprawozdawcze pióro. Ten miesiąc to był sobie taki ot —zwykły październik, jakich wiele. Było dużo zdarzeń, wypadków i wypadeczków, ale wszystkie takie codzienne, szare, zbyt skromne, by

śmiały wystąpić przed krytyczne oczy czytelników. — Ale, ale!.. Słóweczko co do tych krytycznych oczu...

Nasz „Filareta“ obudził się z długiego snu wskutek hałasowania filaretów, czytających pisma w świetlicy. Zobaczył nowy zarząd, zobaczył, że coś się robi, więc przeciągnął się, przetarł zaspane oczy, uśmiechnął się serdecznie do świata czarnemi literami nagłówka, i — różowy, miły, ładny —poszedł między czytelników i czytelniczki. Wielu przyjęło go z otwartemi ramionami, przyhołubiły go różne miłe koleżaneczki, nawet słyszałem, że była taka jedna jasnowłosa, co prosiła o przysłanie „Filarety“ aż do... Kozienic. Ale zdarzyło się inaczej. Znaleźli się tacy, którzy odtrącili ufnie do nich idącego „Filaretę“ i, osłoniwszy się togą wyniosłej wyższości, z lekceważąco - pogardliwym uśmiechem poczęli — krytykować... Ej do ciężkiej analityki!... Co z wami, panowie krytycy? — Tylko krytyka twórcza coś warta. Pokażcie, co wy umiecie, stwórzcie arcydzieło, to uchylimy przed wami głowę. Prosimy na rękę, prosimy!...

Uniosłem się — przepraszam za to. „Filareta“ zapewnia, że mu ta krytyka wcale humoru nie psuje i że urazy nie chowa. I my jej nie chowamy. Pod sekretem tylko powiem, co przypadkowo podsłuchałem. Oto miłe czytelniczki obiecały pomścić "Filaretę" na krytykach.

— o —

W miesiącu ubiegłym dużo słyszeliśmy o oszczędności. Oszczędzajcie, czytelnicy, oszczędzajcie, by nie zabrakło wam nigdy 30 gr. na „Filaretę“! Ja też zacznę się oszczędzać. Złożyłbym się nawet na depozycie do P. K. O., tylko się obawiam, że zbyt mały w stosunku do mej osoby płaciliby procent. I dla oszczędności — kończę.

HOP.

Truteń.

Martwe listki, umarłe resztki kwiatów, leżą na ziemi... Nogi wstępują na dogorywające trawy.... szorstką, niemiłosierną stopą dobijają rdzawo-zielone chwasty, w ciężkim ucisku gniotą pożółkłe źdźbła zielsk.

Nikłe uczucie nawiedza duszę, plotąc coś o brutalnem zakłóceniu ostatnich chwil. Jakiś ledwo dosłyszalny szept szemrze wskroś chrzęstu suchych badyli. Powoli przeradza się w półgłos. wreszcie mówi:

„Czyś po to tu przyszedł, by nas podeptać? Dlaczego odbierasz nam dostojeństwo naszej koniecznej śmierci? Ktoś ty. ?"

Wśród takich pogwarów kroczę jednak naprzód, tylko chód mój staje się wolniejszy, pogrążam się w zadumie i stąpam jakby z rozmysłem.

Nagle w powodzi ciemnych i ponurych barw coś jasnego, lekko matowo błyszczącego, przewija się przed okiem. Cóż to? Czy duszek opuszcza jaką zamarłą roślinkę.? Czy może jakie stworzonko.?

Nie wiem, nie zgaduję. Trzeba zobaczyć. Zapominam o konaniu roślin i spieszę do białego punkcika, który rośnie, rośnie szybko, wreszcie nabiera liljowego odcienia.

To kwiat jesieni, zimowit, ostatni z ostatnich. On jeden nie boi się srogiej zimy. Wychylił główkę ku smutnemu jesiennemu słonku i rozchylił swe cudne płateczki. Patrzę w zachwycie.— Jeszcze jest życie, które powstaje, a nie umiera. W tem ociężałym, leniwym lotem spada na kwiatek jakaś brudna i lepka pszczoła. Z trudem rozprostowywa skrzydełka, wchodzi do wnętrza kielicha i coś jakby szuka.

Nachylam się i przypatruję uważnie. To truteń — wołam niemal głośno. W tej samej chwili nasuwa się myśl — Biedaku, wkrótce skonasz! Pobity, potłuczony przez pszczoły uniosłeś ledwie tlącą się iskierkę życia, żeby ją na chwilę rozdmuchać i zaraz zgasić.

Tymczasem przybysz skrobie kosmatemi łapkami, tuli się do marmurowych ścian kwiatowego pałacu i szuka miodu, którego nie potrafi wydobyć.

Czemuś tak nędzny i opuszczony, trutniu? Czy dlatego, że nie umiałeś pracować? bo chcieć, to może i chciałeś. Ot twarde dla siebie i innych wypędziły cię pracowite pszczółki. Już prężysz zesłabłe członki i powoli, powoli sztywniejesz. W tem błysk, to myśl leci! Marzenie! O bezpłodne marzenie, jeśli nie wyrwę się z twych zachłannych szponów, — to zginę tak, jak i ten oto-

Wolo moja, zmuś mię do pracy, a uniknę w przyszłości gorzkich rozczarowań!

Spojrzałem na owada. Dygotał jeszcze. Czasem wstrząsał nim jakby spazm płaczu, krótszy niż drgnienie powieki, a wreszcie grzebnął jeszcze kilka razy łapkami i spoczął na dnie kwiatu.

J. W,

Dzień oszczędności w naszej szkole. Według polecenia władz szkolnych gimn. im. Jana Kochanowskiego w Radomiu zabrało się z całą energją do uświadamiania młodzieży szkolnej w kierunku cnoty oszczędności. Dla klas wyższych wygłosił dwugodzinny, wyczerpujący odczyt o potrzebie oszczędności i sposobach oszczędzania prof. Józef Karpiński, kierownik radomskiego liceum handlowego żeńskiego. Do uczniów klas niższych wygłosił jednogodzinną przemowę o oszczędności prof. Józef Jentsch, kier. „Filarecji". Wskutek tych zabiegów utworzono przy organizacji mlodzieży „Filarecji" kòłko oszczędnościowe, którego kierownikiem został wybrany przez kolegów swoich uczeń klasy VI Tadeusz Wiśniewski. Rezultat dnia oszczędności jest dosyć pokaźny. Co piąty uczeń szkoły posiada książeczkę oszczędnościową w radomskiej sejmikowej Kasie oszczędności.

Suma uzyskanych pieniędzy wynosi kilkaset złotych. Dokładnych danych na razie nie podajemy, ponieważ jeszcze nowi kandydaci do książeczek oszczędności się zgłaszają. Dokładne zestawienie cyfr podamy w następnym numerze „Filarety".

X.

Przygotowania do uczczenia Dziesięciolecia Niepodległości. W szkole naszej wre robota — wszyscy starają się o to, aby święto dziesięciolecia niepodległości wypadło jaknajokazalej. Literaci piszą, deklamatorzy sposobią się do występów, artyści pracują szczegółowo nad wykończeniem wspaniałego godła Rzeczypospolitej na płótnie rozmiarów 185×235 i nad

planem dekoracji gmachu szkolnego, Specjalua wycieczka udała się do lasów państwowych w Jedlni, by stamtąd sprowadzić zieleń, potrzebną do przybrania szkoły w odświętną szatę.

Nabożeństwo żałobne za Kolegów, poległych w r. 1920-ym.

Dorocznym zwyczajem dnia 9-go b. m. o godzinie 9-ej rano odbyło się w kościele N. M. P. nabożeństwo żałobne za dusze czterech naszych kolegów, poległych w obronie Ojczyzny w czasie inwazji bolszewickiej. Mszę żałobną i egzekwję odprawił ks. prałat Br. Ekiert, pref. gimn. im. Jana Kochanowskiego. Koło symbolicznego katafalku trzymali wartę umundurowani i uzbrojeni koledzy-członkowie hufca szkolnego. Zgromadzeni — nauczyciele, koledzy, rodzina i znajomi uczcili pamięć poległych, w modlitwach swych zanosząc przed tron Boski prośby, by krew przelana nie poszła na marne, by ten kraj, wsparty na ofierze tylu młodych żyć, zaznał szczęścia bytu niepodległego, potężnego. Uroczystość ta wzbudziła w naszych młodych sercach wzniosłe i poważne uczucia.

„Młoda Myśl" młodzieży szkolnej w Końskich. — Ze szczerem zadowoleniem dowiadujemy się, że w roku bież. uczniowie szkół średnich w Końskich zapoczątkowali pracę w nowo-powstałem Kole Artystycznem. Koło powstało z inicjatywy młodzieży, a między innymi jeden z dawniejszych współpracowników „Filarety", Kol. Feliks Mrozowski, w dużym stopniu przyczynił się do stworzenia pożytecznej organizacji. Koło dzieli się na kilka sekcyj, sceniczną, deklamatorską, muzyczną, zorganizowało chór i wydaje pismo p. n. „Młoda Myśl". Na pochwałę zesługują starania młodzieży, która w ten sposób pracuje nad sobą, pomagając szkole w wielkiem dziele wychowania. Podkreślamy przytem jeszcze raz pocieszający objaw, że na czele tej twórczej pracy stoi dawny nasz filareta i współpracownik naszego pisemka.

Z czytelni „Filarecji". W czytelni naszej, która z początkiem roku szkolnego znowu otworzyła swe gościnne progi, frekwencja odwiedzających jest stale duża. W czytelni wyłożone są następujące pisma: „Tygodnik Illustrowany", „Światowid", „Przegląd Sportowy", „Stadjon", „Ra", „Wiadomości Literackie", „Kurjer Warszawski", „Tęcza", „Illustration" i „Berliner Illustrierte Zeitung". Jedni czytają, drudzy grają w szachy. A komu i to nie wystarcza, ten schodzi o piętro niżej, gdzie w sali przyrodniczej słucha odpowiednich audycji przez szkolne radjo.

GRY i ZABAWY od 4—5

Poniedziałek — V
Wtorek — — IV
Środa — — II
Czwartek — I
Piątek — — III
Sobota — — VIII, VII, VI i koło sportowe.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Józef Jentsch** — Radom, pl. 3 Maja 1.
— Odbito czcionkami Zakładów Drukarskich Sejmiku Radomskiego i S-ki —